

# Andrzej Tomaszek

---

## Życie codzienne XVIII-wiecznej palestry trybunalskiej

---

Palestra 37/12(432), 69-75

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

---

---

Andrzej Tomaszek

## Życie codzienne XVIII-wiecznej palestry trybunalskiej

W I Rzeczypospolitej zastępcy procesowi występujący przed Trybunałem Koronnym i Trybunałem Litewskim zwani byli palestrantami trybunalskimi. Obraz ich codziennego życia wyda się być może interesujący i dla współczesnej palestry.

Trybunał Koronny rozpoczął doroczną kadencję w Piotrkowie w pierwszy poniedziałek po 11 listopada, następnie po 4 października, wreszcie po 1 września. Jak wynika z relacji J. Kitowicza, jak i fabularyzowanego opisu Z. Mayera, palestranci aktywnie uczestniczyli w uroczystościach inauguracyjnych<sup>1</sup>. Wraz z wojskową eskortą i klientami tworzyli orszak prezydenta Trybunału. Pierwszego dnia brali udział w uroczystej mszy i zaprzysiężeniu sędziów (deputatów), drugiego w procesji prowadzonej przez władze Trybunału.

Dni pomiędzy inauguracją i faktycznym początkiem pracy sądów upływały palestrze na planowaniu pobytu w mieście w zależności od liczby zleconych spraw i ich pozycji w sądowych rejestrach. Z reguły mecenas przybywali *in gremio* wraz z klientami na pierwszą sesję Trybunału. Ich przedstawiciel witał przybyłych do ratusza deputatów i życzył im pomyślnej pracy. Prezydent lub marszałek grzecznie dziękował i woźny wywoływał pierwszą sprawę. Merytoryczne jej rozpoznanie było w czasach saskich zwykle odraczane, gdyż – jak zauważył współczesny kronikarz – „nagle zaprzęgać się pracą nie było w modzie”.

Kadencja wielkopolska Trybunału trwała z przerwą na święta Bożego Narodzenia aż do niedzieli palmowej. Okres pobytu palestranta w mieście trybunalskim zależał od liczby spraw. Kiedy Trybunał przenosił się na wiosenną kadencję z Piotrkowa do Lublina, palestranci zwykle nie podążali za nim. Utarło się już bowiem, iż sprawy w każdym z miast prowadzi miejscowa palestra. – W Piotrkowie wielkopolska, a w Lublinie małopolska i ruska. W obu ośrodkach występowali natomiast tzw. mecenas kapitulowani, czyli stali doradcy prawni rodzin magnackich.

Mecenas Jan Dunklan Ochocki, plenipotent wojewody ruskiego Józefa Stempkowskiego, kiedy nie miał terminów w sądzie, wykonywał zlecenia mocodawcy w Warszawie, reprezentował go na targach (kontraktach) lwowskich i łubieńskich, i aktywnie uczestniczył w sejmikach ziemskich. Z miasta wyjeżdżał na święta i zapusty, bawił w domach swych protektorów, robił zakupy i grywał w karty. Porównując jego wspomnienia z zapiskami żyjącego dwieście lat wcześniej mecenas Teodora Jewłaszewskiego, plenipotent księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, trzeba stwierdzić, iż tryb życia pale-

stranta nie zmieniał się – jego istotą były zastępstwa procesowe i podróże<sup>2</sup>.

Ponieważ miejscowa aprowizacja była kosztowna, palestranci zjeżdżali zwykle do siedziby Trybunału z zapasami żywności i trunków, a także owsa i siana dla zwierząt. Mieszkanie zapewniali sobie w różny sposób. Bogatsi mieli własne kamienice lub dworki, ubożsi lub rzadziej występujący w sądzie wynajmowali pokoje lub całe piętra od mieszczan. Z uwagi na znaczną liczbę chętnych, najmu dokonywano nawet z rocznym wyprzedzeniem. Kto nie zdołał zdobyć kwatery w kamienicy, nocował w klasztornej celi lub w którymś z podmiejskich dworców.

**P**alestrant trybunalski musiał dobrze gospodarować w mieście trybunalskim, aby nie popaść w długi. Kosztowne było bowiem utrzymanie, rozrywki, a nawet opał. Jednocześnie, aby mieć pozycję towarzyską, należało czynić zbytkowne zakupy i nadażać za lansowanym modelem domu otwartego i wystawnych przyjęć. Wzięci mecenasi zarabiali w drugiej połowie XVIII wieku w gotówce i „prezentach” nawet po kilkaset tysięcy złotych rocznie. Znaczną część dochodów przeznaczali jednakże na wymuszone przez kontakty towarzyskie i konieczność podkreślenia swojego statusu, wystawne życie. Imperatyw – jak to określano – „utrzymywania się na dobrej stopie” prowadził do zadłużania się młodych palestrantów, a i doświadczeni mecenasi nie zawsze umieli uciąć fortunę ze swych wynagrodzeń.

Należało nadażać za modą, gdyż odpowiedni strój pozwalał osiągnąć zawodowy sukces. Bogaci eleganci dobie-

rali na co dzień inne zestawienia barw, zdobili tradycyjne polskie stroje kosztownym futrem i biżuterią. O pozycji i znaczeniu świadczył zwłaszcza pas wielokolorowy, przetykany złotem. Zgodnie z obyczajem w piątki, adwent i podczas postu noszono się na czarno, w soboty na czarno lub popielato, na co dzień zaś zakładano, poczynając od 1776 roku, barwy swoich województw. Nieodłącznym atrybutem była szabla lub laska. Niezmiennie popularne pozostawały też tradycyjne fryzury szlacheckie (wysoko podgolona głowa z małą czuprynką) i wąsy.

W palestrze lubelskiej aż do końca XVIII stulecia noszono strój polski nie ulegając europejskim modom. Nieliczni mecenasi, chodzący do sądu we frakach i z upudrowanymi fryzurami, narażeni byli na drwiny kolegów. O jednym z nich – Wincentym Grzymale, pozostającym pod wpływem prądów oświeceniowych, Kajetan Koźmian napisał: „...z równie żartobliwą pogardą spozierał na swoich z ogoloną głową kolegów, jak oni na jego upudrowaną fryzurę”<sup>3</sup>.

Do dobrego tonu należało również posiadać własne konie i powóz lub przechadzać się po mieście w towarzystwie psa dobrej rasy, najlepiej charta. Najbogatsi palestranci jeździli karetą wraz z liczną służbą, przebraną zależnie od panujących trendów za pajuków, hajduków, huzarów lub kozaków.

Powszedni dzień palestranta rozpoczynał się wcześniej rano przeważnie mszą z udziałem również sędziów (deputatów) i klientów. Palestra towarzyszyła zwykle potem deputatom do ratusza, gdzie o siódmej lub ósmej rano rozpoczynała się sesja Trybunału. Zgo-

dnie z literą prawa miała ona trwać z przerwą na obiad aż do godziny dwudziestej, ale w rzeczywistości – wobec braku precyzyjnej regulacji – kończyła się często już po południu. Palestrant liczący na rozpoznanie interesującej go sprawy danego dnia, czekał od samego rana wraz z klientem przed salą rozpraw. Nieścisłość rejestrów i dowolność sądu w rozpatrywaniu sporów powodowały, że trudno było przewidzieć, kiedy sprawa zostanie rozpoznana. Należało zatem – często przez parę dni z rzędu – czujnie śledzić pracę sądu w „sali ustępnej” i nasłuchiwać wołania woźnego. Dla niewyspanego i zmęczonego wczorajszą konferencją lub biesiadą palestranta nie było to przyjemne. W obawie przed niekorzystnym wyrokiem zaocznym lub odroczeniem sprawy *per non sunt* aż do następnego Trybunału trzeba było wykazywać cierpliwość. Cecha ta była niezbędna także w oczekiwaniu na ogłoszenie wyroku. Zdarzało się bowiem, że deputaci „pracujący nad sentencją jakiegoś bogatego pacjenta (klienta – przyp. AT), posilali się tego starym winem i przysmaczkami incognito (co wszyscy widzieli) na ratusz donoszonymi” i narada nad wyrokiem trwała długie godziny. Chociaż konstytucje sejmowe z lat 1616, 1679, 1726 i 1768 powtarzały zakaz wnoszenia do sądu alkoholu i jego spożywania, nie zapobiegało to w epoce saskiej alkoholowym biesiadom szlacheckich deputatów.

Wieczorem, po zakończeniu pracy w sądzie, czekała palestranta praca (pisanie pism procesowych, konferencje z klientami, lektura akt) lub rozrywki: spacer, uczyty i bale. Obiady wydawali przedstawiciele Trybunału, bogaci

klienci i mecenasi, a także mieszczanie. Choć konstytucje sejmowe z lat 1669 i 1793 zakazywały wspólnych bankietów deputatów i palestry, zakazy te nie były przestrzegane.

Atrakcje towarzyskie odrywały od pracy. Przerwy w obradach Trybunału przeciągały się, a klienci urządzali w tym czasie biesiady dla deputatów i mecenasów, na których pozyskiwano sojuszników i zawierano ugody. Pretekstem do przyjęć bywały imieniny, obchodzone nieraz kilka razy w roku, jak w opisanym przez I. Krasickiego przypadku, gdzie „...wielmożny Jan, w Piotrkowie Ewangelista, był teraz w Lublinie Chrzycielem”<sup>4</sup>. Najwystrawniejsze były biesiady magnackie. Kiedy przed Trybunałem Koronnym w Lublinie toczył się proces pomiędzy Michałem i Maciejem Radziwiłłem, w mieście – jak wspominają współcześni – „bawiono się bez końca, u obu książąt co dzień bywały obiady, po sto osób, na wieczorach najmniej po dwieście, napływ mężczyzn i dam z Warszawy i z prowincji ogromny, jedni przybywali, drudzy odjeżdżali mieniając się ciągle”. Typowe dla czasów saskich opilstwo i obżarstwo było również udziałem palestry. Wielkie poważanie zyskał sobie np. mecenas Konrad Badowski, „otyły, postaci ogromnej, dowcipny jowialista”, kiedy ku uciesze biesiadników opróżnił 5-litrowy kielich wina.

Bez zaproszenia na uczyty trudno było nawiązać kontakty towarzyskie. Jeszcze w latach osiemdziesiątych XVIII wieku brakowało przy Trybunale zajazdów i gospód, istniejące nie obsługiwały przygodnych konsumentów. Kawiarnie zyskiwały dopiero popularność



i odwiedzała je raczej uboższa palestra i mieszczenie, gdyż jak zauważył K. Koźmian „każdy z poważniejszych osób sądziłby ubliżać swojej godności, gdyby go w oberży, w sklepie lub na jarmarku spotkano”. Popularnością cieszyły się natomiast podmiejskie dworki szlacheckie, jak Bełżyce, Piaski i Wieniawa koło Lublina. U państwa Kossowskich, właścicieli Bełżyc „kontusze, golone głowy, twarze wąsate mieszały się z upudrowanymi głowami, frakami i całą elegancją warszawską”. Palestrantów, deputatów i klientów ściągała tam nie tylko chęć rozrywki, ale i zawarcia korzystnych znajomości, zawiązania przyjaźni czy realizacji planów matrymonialnych. Bale trwały do rana a goście odsypiali potem do piątej po południu, aby wieczorem od nowa rozpocząć zabawę. W godzinach popołudniowych praktykowano „wzajemne dawanie sobie uczt małych, wizyty i zapraszania, przechodzenia po miasteczku z kielichami”. Urządzano też polowania, a zimą kuligi.

Początkujący palestranci, podpatrując otoczenie, nabierali swoistej oglądy, uczyli się obyczajów, starsi – przyzwyczajeni do aktywnego życia towarzyskiego – traktowali je jako metodę realizacji innych niż towarzyskie celów i uważali za jeden z przymiotów swojego zawodu. Wśród biesiad i hulanek nie brakowało żartów i nie zawsze lekkich dowcipów. Kiedy na balu w Bełżycach jeden z gości zmęczony wymknął się z sali i zasnął, współbiesiadnicy wnieśli go na łóżku z powrotem, „gdzie przy hucznej muzyce lali go wodą lub trzepali różgą”. W Lublinie na zakończenie sutego obiadu wystawionego na cześć wygranego procesu przez Michała Gra-

nowskiego, późniejszego sekretarza wielkiego koronnego, uformowano pochód półnagich biesiadników – jak zanotował K. Koźmian – „tańczących, skaczących, tarzających się, śpiewających lub ze zbytku trunku upadających i oddających ustami trunek” w drodze do ratusza.

W chwilach wolnych grano w kości lub coraz popularniejsze karty. Wśród grających nie brakowało zręcznych, niemal zawodowych graczy, co przy wysokich stawkach powodowało, że tracono majątki. W Lublinie w latach osiemdziesiątych XVIII wieku znaczną popularność zyskał teatr, gdzie w okresie kadencji Trybunału występowali aktorzy ze Lwowa i Warszawy. Do specyfiki wystawianych tam spektakli należało to, iż kiedy na widownię wchodził marszałek, któryś z deputatów lub nawet ich rodzina, publiczność złożona głównie z osób zainteresowanych rezultatem swoich procesów, przerywała przedstawienie wnosząc okrzyki na cześć przybyłych. Sytuację taką sugestywnie opisał H. Rzewuski: „...a niektórzy karzą winą przynieść i nakrzyczą na komediantów, aby przerwali granie, póki nie skończą zdrowia. A tak nawrzeszczawszy wiwatów i przez może dwadzieścia rąk kielich obszedłszy, dopiero komediantom pozwolą dalej grać, póki im na nowo nie przerwą”<sup>5</sup>. Przedstawienia przeciągały się w ten sposób do późnej nocy.

Na co dzień niebezpieczne były pojedynki, zabronione w mieście trybunalskim, ale tolerowane już kilka mil dalej, np. w podlubelskich Piaskach. Zwycięstwo w takich starciach dodawało sławy i umacniało również zawodową pozycję. Palestrant Jan Dunklan Ochocki

dzięki pojedyńkom zyskał opinię twardego przeciwnika, którą wykorzystywał w pracy przed sądem. Kiedy jego antagonistą, podsędek Denisko (którego to właśnie wyrok został zaskarżony) lekceważąco wyraził się o Ochockim na bankiecie u prezydenta Trybunału, ten wyzwiał go na pojedynek i wymusił przeprosiny. Przy okazji sporu pozyskany uprzednio marszałek trybunalski wyjaśnić miał przestraszonemu Denisce, iż co prawda pojedynkować się przy Trybunale nie wolno, ale „wyzwać i w pałacu marszałkowskim nikt nie broni”<sup>6</sup>.

W mieście trybunalskim nie brakowało pięknych pań i panien, miejscowych i przybyłych na sądy. Palestranci, zwykle długo bezzenni, szczególnie często dotrzymywali im towarzystwa. Pamiętniki XVIII-wiecznych mecenasów zawierają wspomnienia o ich romansach zwykle z aktorkami i posażnymi wdowami mieszczańskiego lub szlacheckiego pochodzenia. Zdarzały się i romanse tragiczne, jak np. aplikanta Antoniego Lipskiego, potomka senatorskiego rodu, do niebogatej panny Targowskiej. Kiedy ojciec wysłanego na naukę do Lublina palestranta, zezłoszczony wydatkami syna na prezenty dla wybranki, której nie zaakceptował w obawie przed mezaliansem, zezłył oboje w listach, pozbawiając ich złudzeń co do realności małżeństwa, młody Lipski popełnił samobójstwo, a panna zdecydowała się wstąpić do klasztoru.

Obecność kobiet była zauważalna w życiu towarzyskim przy Trybunale. Uczestniczyły w balach, popierały sprawy swoje i rodziny, asystowały w ceremoniach. Wdowy i zamężne prowadzi-

ły domy otwarte dla szanowanych gości, a szlachta nie stroniła i od mieszczańskich apartamentów. Kobiety dawały uroku, powodowały intrygi, były źródłem anegdot. Kiedy w 1745 roku w Trybunale Litewskim komisarz żmudzki dóbr rodziny Ogińskich – niejaki Wieluński – stanął pod zarzutem zgwałcenia pięćdziesięciu dziewcząt, jak zanotował M. Matuszewicz, „były wszystkie damy ciekawe poznać go, a że był bladawy, nie zdawał się im być winnym w takowym oskarżeniu”<sup>7</sup>.

Podczas sądów zjeżdżały do miasta także białogłowy lekkiego autoramentu. Instygatorzy, urzędnicy mający za zadanie m.in. zwalczać ściąganie wszetecznic, woleli starać się o chwywanie in flagranti bogatych i szanowanych obywateli, których można było w zamian za dyskrecję bezkarnie oskubać. Doświadczeni mecenas pilnowali swoich aplikantów i ostrzegali swoich młodszycy kolegów przed takimi zagrożeniami. W konstytucji sejmowej z 1726 roku zakazano podczas obrad Trybunału przebywać w mieście kobietom, „które tamże założywszy mieszkanie, bawią się, a częstokroć praktyki między stronami czynią”, ale zakaz ten rzadko egzekwowano.

Palestranci trybunalscy wiedli żywot aktywny, barwny i niespokojny. Było w nim miejsce na biesiady i miłostki, ale brakowało go często na ożenek. Małżeństwo zawierali przeważnie po czterdziestce, gdy ich pozycja zawodowa i materialna była ugruntowana. Ożenek zwykle oznaczał ograniczenie życia zawodowego i przybranie roli statecznego ziemianina. Zdobywając rękę posażnej panny, mecenas przekazywał część swych spraw w Trybunale kole-

gom i starał się uzyskać jakiś urząd ziemski, aby podnieść swój prestiż. Aby bogato zaprezentować się wybrance, kupował powozy, bogate stroje, prezenty. Podczas przedmażeńskich pertraktacji palestrant oferował zwykle jakiś majątek w postaci folwarku lub w gotówce i zapewniał o swej osiadłości. To ostatnie było istotne, gdyż nawet o najbogatszym palestrancie plotkowano, że „niepewny szlachciec” i „nie wiedzieć, skąd jest” skoro „żadnego domu nie ma, tylko stancję jako patron w Lublinie”. W XVIII wieku patroni trybunalscy uchodzili jednak na ogół za atrakcyjnych kandydatów, gdyż gwarantowali znajomości w sądzie i dawali nadzieję pomyślności w prowadzonych przez powinowatych procesach.

Po zakończeniu pertraktacji przedmażeńskich wyprawiano zaręczny („zrękowiny”), po których przyjęty kandydat przygotowywał fundusze na wydatki weselne. Do domu panny młodej wypadało zajechać powozem i z okazałym orszakiem przyjaciół, służby i muzykantów. Patronowi trybunalskiemu Lechnickiemu czyniono zarzuty, że „na wesele nie miał za co karety i koni kupić”, tak „wyekspensował się na prezenta” i „z pożyczaną drużyną i kapelą z bursy jezuickiej” przyjechał po wybrankę<sup>8</sup>.

Okazałość ceremonii ślubnej i wesela zależała od zamożności panny. Na zaślubiny patrona trybunalskiego Raczyńskiego z córką sędziego ziemskiego Ewą Burakówną „zjazd był niesłychany, na obiadach po sto osiemdziesiąt

osób, wieczerze równie obsadzone, oficyny, dworki, żydowskie domy, porządniejsze nawet chałupy, wszystko zajęte i napchane”.

Małżeństwa mecenasów układały się tak, jak inne związki szlacheckie w tej epoce. Wobec panującej dyskrekcji trudno o informacje w źródłach historycznych. Przeważnie zgodnie z oczekiwaniami wiedli oni spokojny wiejski żywot. Tendencyjny niewątpliwie M. Matuszewicz notował, iż kiedy jego siostra wydana za mecenasa Ruszczyca, skarżyła się na „nieafekt męża swego, złe traktowanie i wszelkie niewygody”, zalecono jej, aby cierpliwością przekonała do siebie męża. Według literackiej relacji H. Rzewuskiego mecenas Sopolica po ożenku szczęśliwie kontynuował praktykę adwokacką i mógł z zadowoleniem skonstatować: „Ja siedzę przy sprawach, a Magdusia pilnuje gospodarstwa”.

Zamknięcie kadencji lubelskiej Trybunału Koronnego, wyznaczone w 1641 roku na 20 grudnia odbywało się również z udziałem palestry. Po mszy i procesji jej przedstawiciele wygłaszali mowy sławiące mądrość, uczciwość i pracowitość sędziów oraz rzetelność obsługującej Trybunał kancelarii, a marszałek dziękował i żegnał zebranych. Atmosfera tych uroczystości była inna niż inauguracji, gdyż deputaci myśleli już zwykle o rodzinnych majątkach, a palestranci o procesach w następnej kadencji. Obie grupy opuszczały więc na ogół Lublin bez zbędnej zwłoki.

## Przypisy:

<sup>1</sup> J. Kitowicz: *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Warszawa–Wrocław 1970, s. 192–198, Z. Mayer: *Wizerunek Trybunału Koronnego*, Lwów 1929, s. 7–13.

<sup>2</sup> J. Dunklan Ochocki: *Pamiętniki*, Wilno 1857; T. Jewłaszewski: *Pamiętniki*, Warszawa 1860.

<sup>3</sup> K. Koźmian: *Pamiętniki*, t. 1, Wrocław 1972, s. 356.

<sup>4</sup> I. Krasicki: *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki*, Wrocław 1954, s. 70.

<sup>5</sup> H. Rzewuski: *Pamiętki Soplicy*, Warszawa 1961, s. 122.

<sup>6</sup> J. Dunklan Ochocki, op. cit., t. 1, s. 355–358.

<sup>7</sup> M. Matuszewicz: *Diariusz życia mego*, Warszawa 1986, t. 1, s. 244.

<sup>8</sup> Ibidem, t. 1, s. 122, 124.

